

O DRODZE,
O POSZUKIWANIU SIEBIE

ROZMOWA Z
GÓRĄ

**RAFAŁ
FRONIA**

AUTOR BESTSELLERA
„ANATOMIA GÓRY”

SCN
WYDAWNICTWO
SIMI GÓR 2019

RAFAŁ
FRONIA

ROZMOWA Z
GÓRA

O DRODZE,
O POSZUKIWANIU
SIEBIE

KRAKÓW 2019

24. DZIEŃ POD GÓRĄ. WALKA O ŻYCIE

Dużo chmur płynie o poranku. Ze wschodu, zza przełęczy, stąd jeszcze nie płynęły. To różni ten świstakowy poranek w bazie od innych. Jest chłodny, ale cichy w opuszczonej kotlinie, gdzie zostaliśmy już zupełnie sami.

Patrzę na wiszące seraki, na miliony ton lodu pochylone białymi ścianami ku dolinie. Tam, gdzie są, utrzymuje je delikatna równowaga, przecząc grawitacji. Tu wiele zdarzeń, myśli i niezdarzeń przeczy uznanemu przez nas porządkowi. Ale najniesforniejsze są myśli.

Przypomniało mi się, jak wczoraj wracaliśmy przez lodowiec i jak zobaczyłem biegnące z dołu skosem na przełęcz ślady. Lekko zaprószone śniegiem, podwójne. Lisy i psy chodzą inaczej i mają inny ślad. To był jakiś znacznie większy zwierz, jakby miał kopyta, wgłębienia są mocniej zapadnięte. Szedł tak, że ślady układały się w pary, obok siebie. Przecięły naszą ścieżkę i wspinały się w śnieżne zbocze, ku Chinom, ku Samdo, ale nie mogłem dociec, skąd przyszły. Pojawiły się z dna dolinki, gdzie są tylko szczeliny. Żaden zwierz, żadna istota tamtędy by nie szła poza tą, która zostawiła te ślady. Ślady, których wypatrywałem niżej, ale nic nie znalazłem. Albo więc to coś spędziło dzień i noc w dolince i weszło tam przed śnieżycą, albo... Do głowy przychodzą myśli, które w ogóle nie mają sensu. Odganiem je jak komara, który może ze sobą nieść zarazki malarii.

Na szczycie wieje, ale jakby słabiej, jakby jet się uniósł wyżej, ponad ziemskie przeszkody. Myślę o chłopakach w CI, o tej bezproduktywności i czasie spędzonym pod Górą, o godzinach,

dniach i tygodniach, podczas których nic się nie robi. Krzych mówił do mnie: „Ty przynajmniej coś robisz, piszesz, a my?”.

Ma rację. Czas spędzony tutaj poświęca się Górze, myśli są poplątane. Ile razy obiecywałem sobie, że te dwa miesiące poświęcę czemuś. Miałem tyle planów na ten górski czas i nigdy mi się to nie udawało. Przestałem już obiecywać, zabierać książki do nauki hiszpańskiego, które przewalałem z beczki do beczki, nie zaglądając nawet do nich.

Dziś nie mam dobrych myśli. To kiepski dzień. Czas, kiedy wiem, że nie zdobędę Góry, kiedy martwię się o chłopaków. Muszę dużo poukładać w głowie, aby niepowodzenie szczytu nie zamieniło się w szczyt niepowodzeń. Nie poszedłem, tak, zawróciłem, bo się bałem. Góry nie zabijają ludzi, ale w górach giną ludzie, którzy popełniają błędy. A wejść tuż po takim opadzie, w te zasypane świeżym śniegiem zbocza, szczeliny i seraki, byłoby strasznym błędem. A ja? Ja kocham życie i nie oddam go świadomie żadnej Górze, żadnemu pseudosukcesowi na jej wierzchołku. Idę, ale tylko wtedy, gdy mam nad tym kontrolę. Nad sobą, nad ciałem i umysłem i nad oceną tego, co dzieje się wokół mnie. Odwrót był dobrą decyzją.

To czemu mam wyrzuty? Czemu mam wrażenie straty, przegranej, przykrości i smutku? Chłopaki w górze. Paweł ma złe myśli, ja również. Jakbym czekał na złą wiadomość. Jakbym wiedział, że nadejdzie i jest to tylko kwestią czasu, bo coś się stało, w przyszłości, tylko muszę do tych zdarzeń dotrzeć w poszatkowanych jednostkach przeszłego czasu. Tak, stało się niebawem, nieodwracalnie. Dziwne uczucie. Czas przyszedł dokonany.

Z CI nadchodzi wieść, że chłopaki idą do góry, będą próbować. Nic nie mówię na głos. Zamykam myśli w ich sferze, głęboko w głowie.

– Grzegorz, kto będzie szefem grupy? – pytam przez radio.

– Ja to biorę na siebie. – Głos Grzesia jest stanowczy, zdecydowany. Widać, że bardzo chce iść, a stanowczym głosem chce przekonać samego siebie i innych.

– Pamiętaj, że to wasza decyzja. Ja nie rekomenduję dzisiejszego wyjścia w stronę CII, zbyt duże zagrożenie lawinowe. – Też staram się mówić stanowczo, ale jednak to im zostawiam decyzję po ocenie tego, jak wyglądają warunki tam wyżej.

– Zrozumiałem, wszyscy jesteśmy świadomi i wyrażamy zgodę. To nasza decyzja. Idziemy.

I poszli, a w CI został tylko Faraon, jako *support*. Źle spał, nie chce iść do góry, nie chce opóźniać. W bazie śnieg napierdziela coraz mocniej. Siedzę przy radiu. Po prostu, aby wskazówki cięty czas na mniejsze odcinki, które przesuwają się przede mną. Czas. Czekanie. Nie zabroniłem. Pamiętam, jak sześć lat temu w tym samym miejscu i w tym samym czasie wyprawowym Jurek zabronił mi iść w kierunku szczytu. Posłuchałem, ale nigdy się z tym nie pogodziłem. Nie chcę teraz powielić tego samego błędu. Ale czy tym samym nie popełniam aby innego, poważniejszego? Czy tamten zakaz był błędem? Co można o tym powiedzieć, nie wiedząc, co by było gdyby? Żyję. Może Jurek ratował mnie przed samym sobą? Nie wiem. Wtedy miałem słabą aklimatyzację, ale większe parcie na Górę. A co by było, wie tylko cięty wskazówkami na kawałeczki sekund i minut, godzin i dób czas, który zatrzymuje się w mojej głowie na kilka chwil, gdy do mesy dociera dźwięk pędzącej w dół zbocza lawiny.

Wywołuję grupę. Odzywają się z labiryntu seraków.

– Ciężko, dużo śniegu, ale bezpiecznie. – Głos Grzesia już nie jest tak bojowy i stanowczy, ale jest w nim chęć parcia w górę. Zaciskam zęby. Włączam mikrofon, nagrywam nasze rozmowy.

– Powodzenia, bez odbioru.



Trwa drugi atak szczytowy, chłopaki błąkają się w ścianie poniżej CII, mnie trafia szlag, a na dworze armagedon

I dalej trwam w pociętym czasie, jak w jakimś zalanym cieczą słoju wypełnionym nieznanymi fragmentami przyszłości.

13.30. Chłopaki są na 6100 metrach, nowe szczeliny, śnieg po osie. Po pięciu godzinach mają niewiele ponad połowę drogi. Nie jest dobrze. Faraon zaraz zacznie schodzić, jego *support* tam na nic. W bazie wciąż śnieg i dla odmiany wizyta czeskiej pary trekkerów na herbacie w naszej mesie. Doszli z Samagaon, chcieli zobaczyć bazę i Górę, a nie ma ani bazy, ani góry schowanej w wałacej śniegiem chmurze. Wiedzą o śmiertelnym wypadku ich rodaka sprzed kilku dni, smutna sprawa.

14.00. Krzychu w niewybrednych i żołnierskich słowach skomentował warunki:

– Baza! Pierdolić to, za dużo śniegu, nie idę dalej! – I zaczął schodzić, sam. Wcześniej Mario z Krzychem zjechali na podciętej desce śnieżnej z 10 metrów, o czym jednak nas nie poinformowali, bojąc się, że to spowoduje decyzję o odwrocie. Faraon już w drodze, zabrał z CI śpiwory i tyle kłopotów, ile zdołał. Schodzi, ale wiem, że robi to powoli w tych warunkach. To będzie bardzo długi marsz.

Powoli zaczyna to przypominać jakiś film grozy. „Jutro nie będzie zgody na dalszą drogę” – myślę i podejmuję decyzję. Zawrócę ich.

14.20. Krzychu zgłasza, że wyjechał z lawiną. Cudem zatrzymał się nad szczeliną. Melduje przez radio, jest roztrzęsiony, chyba gada trochę od rzeczy. Ale wiem, jak to jest, gdy zabiera cię śmierć i gdy z nią jedziesz przez chwilę, i gdy nagle ona cię porzuca z jakiejś niezrozumiałej przyczyny. To jakby nowe narodziny. Umysł jest rozklekotany jak pianino, które ktoś wyrzucił z okna trzeciego piętra na bruk. Jechał z tą lawiną wprost do szczeliny, widział już jej krawędź, gdy nagle jakaś stara lina sprzed lat się pojawiła i ją capnął jak w jakimś filmie grozy. Śnieżny pociąg pojechał do lodowego tunelu, a Krzych zawisł na tej lince... To przebiera miarę. Tam naprawdę nie ma czego szukać. Każdy incydent wygoni naszą trójkę do góry z akcją pomocy, ale ile tam będziemy iść?! Pięć, dziesięć godzin? Śnieg sypie, lin nie ma, szczeliny schowane. Szaleństwo. Są sami, nie jesteśmy w stanie im pomóc, nikt nie jest. Nie mogą iść dalej, ale mimo to szykujemy sprzęt. Jesteśmy w gotowości, by iść.

14.21. Wydaję nakaz odwrotu, nie ma mojej zgody na dalsze wspinanie w takich warunkach i przy takim zagrożeniu.

– Grzesiek, Grzesiek, jak mnie słyszycie? – wołam do radia. Coś trzeszczy, coś pika. – Występuje bezpośrednio narażenie życia. To

zbyt niebezpieczne, nakazuję wam odwrót. Macie natychmiast zawrócić! – Jejku, jak to brzmi, głos mi się rwie trochę.

W radiu cisza, pewnie się naradzają.

– Okej, słyszymy, dajcie nam chwilę.

Czekam na decyzję Grzegorza, który konsultuje się z Danym i Mariem. Cisza się przeciąga. Wiem, jak trudno niektórym jest zawrócić. To, co się dzieje w ścianie, nie ma już sensu, ale tak myślę ja. Dwa zdarzenia, okazuje się, że nasza wczorajsza ocena warunków była słuszna, a nawet niedoszacowana. Tylko co dalej? Trzech ludzi tkwi poniżej CII w samoczynnie wyjeżdżającym śniegu.

Jest odpowiedź:

– Baza, baza! Chcemy iść dalej, do CII mamy godzinę, w dół będziemy szli trzy godziny. Chcemy iść. Proszę, nie zwracaj nas.

Nie zamierzają wykonać polecenia. Grzegorz wziął odpowiedzialność za decyzję i jej ewentualne skutki. Ja wiem, że się myli, że to zła decyzja. Nic nie mogę zrobić. Nie ma siły, która w górach komuś coś nakaze wbrew niemu, ale i nie ma siły, która mu coś zakaze, jeśli on się uprze, że to robi. Instynkt. Kto go nie ma, niech siedzi w domu. Jego brak naraża nie tylko jego, ale także innych, którzy mu ulegną, którzy za niego odpowiadają i którzy go będą ratować. Idą już siedem godzin. Naprawdę jest trudno.

14.48. Poniżej dolnego CI pod schodzącym samotnie Faraonem zarwał się mostek, a on wpadł do szczeliny, pluje krwią i boli go prawa noga. Dzięki dwóm dziabom jakoś wylazł, inaczej pewnie byśmy go nawet nie znaleźli. Jest okej, kontynuuje schodzenie, nie chce czekać na Krzycha, który również samotnie przebija się w dół do CI.

15.03. Znów radio Faraona woła. Zarwał się pod nim kolejny mostek, ale nie wpadł, zabił czekany na krawędzi i jakoś się utrzymał. Jest około godziny marszu od *crampon point*, idzie

bardzo wolno, ale z każdą chwilą jest więcej napierdziałającego śniegu, w którym tonie.

Siedzę jak na gwoździu. Konsekwencje mojej uległości mogą być różne, nie sposób ich przewidzieć. Czas tak wolno daje się ciąć wskazówkami. Seeekuundaaaaa ciągnie się jak guma. Czemu teraz ostrza wskazówek nie tną czasu tak, jak potrafią, gdy siedzi się na wymarzonych wczasach?

Na każde zapiszczenie radia podskakuję, a gwóźdź wbija mi się w płuca. Wstrzymuję oddech. Piknięć jest tak dużo, wypuszczam z ulgą i świstem powietrze. Kaszlę i znów, pik, pik! Któryś z chłopaków wciska niechący guzik w mikrofonie. Przydusza go pewnie ramięczkiem plecaka, a ja skaczę co chwila jak oparzony. Od gazowego, pewnie nieszczelnego piecyka pieką mnie oczy. Zamykam je więc i siedzę ze stopami na drugim krześle zwisającymi nad żarnikiem. Pod krzesłem Bogdanek zwinął się w kłębek, przestał brykać i udaje, że śpi. Paweł z Przemysławem w namiotach, ale w gotowości, naszykowane buty i kombinezony. Sprawdziłem tlen, baterię w satelicie. Patrzę, jak Bogdanek się przeciąga. Gdybym mógł go zabrać ze sobą do kraju, tobym zabrał. Jest tak sprytny, zmyślny i pocieszny, że ma całą moją sympatię. Czemu udaje, że śpi? Wystarczy najmniejszy mój ruch, a już uchyla powiekę, stawia klapnięte ucho. Czuwa, skubaniec. Razem czuwamy, ja nad radiem, on nade mną.

Długie minuty ciszy przerywane są kolejnymi piknięciami radia. Wszyscy mieli się meldować co 20 minut, ale wiem, jak to jest, gdy walczy się w skupieniu, gdy jest się kompletnie zmęczonym. A oni są. Wiem to. Wciąż pada. W górze śniegu coraz więcej. Te chmury, których nie widziały pogodowe modele, ciężkie, pełne śniegu, a jednak uniosły się wyżej niż CII i dopiero tam wytrząsnęły z siebie nieoczekiwaną, białą zawartość, jak zaskoczona kobieta wyrzucająca sekrety swojej torebki, dziwiąc się, że

aż tyle różności się tam ukrywało. Liczyliśmy, że chmury są nisko, że śnieżyca powyżej 6000 metrów nie dotarła. Ale dotarła, i to silniejsza niż tu na dole.

17.10. Faraon doszedł do bazy, a Krzychu zbliża się do *crampon point*, za chwilę będzie bezpieczny.

Zapada zmrok. Chłopaki powoli docierają w rejon CII, ale czy jest namiot? Nie widzą, napięcie znów rośnie, znów niepewność: „co, jeśli”, „a co, jeśli nie?”. Czekam. Faraon zmęczony, potwierdza, że to była głupota iść. Z CII dochodzą głosy. Grzesiek jednak nie wie, gdzie namiot, nic nie widać, szukają.

17.40. Śnieg się wzmacza, problemy z łącznością, coś nie styka. Próbuje kilka razy. Wreszcie się udaje.

– Widoczność zero, nie możemy znaleźć namiotu. – Tym razem to głos Danego i mam wrażenie, że słyszę w nim panikę. – Nic nie widać, schodzimy do CI. Nie ma namiotu, musiało go całkiem zasypać albo zwiać!

Jeju, teraz to już naprawdę jest jazda. Z każdą chwilą robi się ciemniej. A Krzychu mówi, że liny były zasypane, nawet te, które wykopali, idąc do góry. Teraz to nawet śladu już może nie być, na dodatek mogą zabłądzić.

– Zabraniam wam się rozdzielać, macie być razem. Grzegorz, pamiętaj, macie iść razem. – Głos mi się chyba łamie.

– Schodzimy, jesteśmy w czarnej dupie. Bez odbioru. – To znów Dany. Tylko on ze mną gada. Mario i Grzesiek milczą.

Boję się. Zejście do CI to kolejnych kilka trudnych godzin. Tu w mojej głowie i tam, w ścianie, gdzie będą walczyć o bezpieczne zejście. O życie.

18.40. Wciąż schodzą. Mija dziesięć i pół godziny w ścianie, w ciężkich warunkach. Znów sekundy ciągną się jak guma.

19.08. Dany na linii, chłopaki przekraczają lawinisko, gdzie zjechał Krzychu, i szczelinę. Mają się odezwać, gdy ją pokonają.



Bogdanek udaje, że śpi

Sypie. Tu w bazie okrutnie, tam nie są w stanie ocenić. Ale okoliczne ściany robią się coraz cięższe, co chwila schodzą z nich z łomotem i dudnieniem lawiny. Śniegu jest tyle, że nie czekają na poranne słońce. Walą w dół już, od razu, tak są ciężkie te nawisy. Czarna, bezgwiezdna noc wygłuszona białą warstwą gąbki zalegającej na kopule, w którą niosą się głucho grzmoty lawin, jak spod ziemi, tak wolno, jakby w śnieżycy głos rozchodził się z trudem, ociężałe po opchaniu się śniegu.

Muszą wytrwać. Śnieżny groch terkocze, uderzając w odśnieżoną znów przez Aziza kopułę. Musimy odśnieżać, inaczej kopuła się zawali.

19.40. Brak kontaktu z góry. Czekam. A w mesie wysiada światło, w bezsłoneczny dzień solar nie zdołał naładować akumulatora. Lampka czołówki na czoło. Przytłumione głosy z kuchni. Skądś przyplątany ból głowy zgniata mi czaszkę. Błękitny kwadrat gazowego żarnika na podłodze wygląda jak okienko z piekła, skąd

wystają tańczące, diabelskie płomienie. Kolejna lawina na pobliskim skalnym zboczu. Lawina szorująca litą skałę brzmi inaczej, jakby zdzieraa żywą kość – to odgłos, który wręcz boli. To nie łoskot, lecz chrobot, jakby ktoś w skale rył ostrym krzemieniem napis: „Uciekaj!”.

19.50. Cisza z góry trwa.

20.00. Po raz enty wywołuję chłopaków. W końcu się zgłaszają. Schodzą stromym fragmentem, odpalili ogrzewacze, zaczynają mocno marznąć. Głos Danego nie napawa optymizmem. Szacuje, że do CI mają trzy godziny.

Przejechało TGV. Głuche echo wprawiło dolinkę w drzenie. Z namiotu mesy zjechała z furkotem biała czapa.

Któryś z chłopaków przypadkowo nacisnął mikrofon.

– Nie ściągaj mnie – zmęczony głos, z wysiłkiem – daj luz na linie.

Walczą. Są związani, idą jako zespół. To dobrze.

Nie wiem, czy można nadać skałę opadowi śniegu. Jeśli 0 to nic, 1 to taki tyci, a 10 to koniec świata, to tutaj mamy 7 albo nawet 8. Śnieg wali nieprawdopodobnie. Michał z kraju śle SMS-ami zdziwienia, rady i pomysły. Nie wie, że to kiepsko, gdy jest się w centrum niezapowiedzianej zamieci, której w ogóle nie powinno być. A ja tu siedzę jak na szpilkach i nic nie mogę zrobić. Nie, jak na gwoździu.

Mija 12 godzin walki o drogę do CII i powrót do CI. Siedzę sam u wylotu tego czarciego lufcika z gazowym ciepłem, ale myślami jestem uwiązany w górze jako czwarty do tej liny z chłopakami. Z radiem w jednej ręce i z kubkiem herbaty w drugiej, i z Bogdankiem pilnującym mnie pod krzesłem. I czekam. Nic więcej nie mogę zrobić. Nikt nie może. W tej sytuacji grupa w górze jest skazana tylko na siebie. Myślę, że do CI byśmy w ogóle nie doszli. Nie znaleźlibyśmy po prostu drogi.

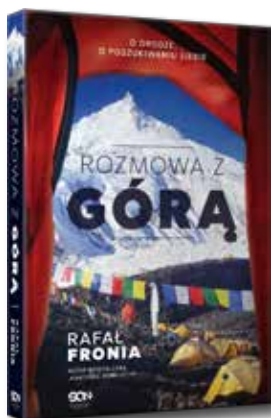
21.00. Dochodzą do trawersu pod serakami, do plateau, gdzie jest wielkie lawinisko. Stąd godzina i powinni być w CI, o ile znajdą namiot. Śnieżycy przechodzi w 9.

Radio znów się odzywa. To chłopaki się nawołują, mobilizują. Są blisko siebie, a mimo to używają radia, więc śnieg tam również wali jak głupi i ich zagłusza.

22.30. Piknięcia radia wciąż trwają. Czasem jakiś strzęp zdania, słowo. Idą. Śnieg pada. Jest lepiej, oceniam na 6. Jakby się uspokajało tam, za żółtą tkaniną tropiku. 14,5 godziny.

23.51. W końcu doszli do CI. Wielka ulga. Nie mają śpiworów, ale mają kombinezony, gaz, palnik. Dadzą radę. Mogę iść do namiotu spać.

Jeśli zastanawiasz się, jak to jest być
w Himalajach i ruszać na podbój
ośmiotysięczników – dobrze trafiłeś.
Dzięki tej książce zobaczysz świat oczami
himalaisty, doświadczysz ujmującej ciszy po
śnieżnej zamieci, ale też poczujesz strach
i ekscytację w drodze na szczyt.



Książka pomaga zrozumieć Rafała Fronię
i otaczającą nas rzeczywistość.
Ale przede wszystkim pozwala poznać
samego siebie.

Książki szukaj na
WWW.LABOTIGA.PL
i WWW.EMPIK.COM,
a od 16 kwietnia w salonach Empik
i dobrych księgarniach w całej Polsce.

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl